



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## NIEPOROZUMIENIA.

### I.

Słowa—słowa—słowa!

(Hamlet).

Jakąż to ważną istotnie rzeczą, niby drobną, a doniosłą, jest—wyraz, słowo, dźwięk jeden, nazwa, imię jakiejś idei, rozumiane jednak—rozmaicie, określane dowolnie, strojone, naciągane na różne tony. Jeden i ten sam wyraz znaczy raz to, to znów tamto, wedle nadanego mu znaczenia; zmienia maskę na obliczu rzeczywistości, a w tej maskaradzie odcieni trudno poznać samą treść, samą prawdę. Widzimy całe stronnictwa, spierające się o słowa, a frazesy; widzimy ludzi których na zawsze rozdzieliły—słowa; widzieliśmy jak się dziesiątki lat ścierali scholastycy o jeden wyraz, termin, nazwę, i dziś widzimy także wyrażenia któremi posługują się ludzie odmiennych przekonań, wyrażenia dwulicowe, mieniące się jak kameleon, to jasno, to ciemno, dlatego będące kością niezgody, granicą, u której na ostrze godzą w siebie przeciwnicy. W sprawie kobiet, takim fatalnym, dwulicowym słowem jest między innymi: *emancypacja*. Jedni uważają ją za konieczną w ogólnym rozwoju ludzkich stosunków, drudzy piorunują na nią jako na skrzywienie zasad niewieścich.

Przyjrzyjmy się temu nieporozumieniu. Leży ono przede wszystkim w bardzo niefortunnej nazwie, która się utrzymała jako określenie szerszego wykształcenia, stanowiska, działalności kobiety, nazwie, która właściwie znaczy: *wyzwolenie*, a zatem

budzi na pozór obawy co do lekkomyślnego opuszczenia obowiązków rodzinnych, domowych, wyrzucania się samopas—na niebezpieczne drogi, rozminięcia się z powołaniem, z zadaniem kobiety i t. d.

A jeśli owo „wyzwolenie“ uważać będziemy jako zerwanie z próżnością, z lenistwem, z niedołęstwem, jeśli ono raczej jest sojuszem z pracą, dążeniem do koniecznej dla każdego człowieka samodzielności ducha i niezależności materialnej, jeśli to jest zdobyciem sobie nieocenionego przymiotu energii, dawaniam sobie rady, możności niesienia jej drugim, wysłużenia sobie jakiejś przecie zasługi osobistej na tem miejscu, które w świecie sobą zabieramy,—jeśli to wszystko mieści się w owej „emancypacji“, to może lepiej nie rzucać na nią, tak sobie, kamieniem, od razu, lecz przyjrzeć jej się bliżej, a nade wszystko—bezsronniej.

Nie można zataić, że tą nazwą okryła się, podszyła się pod nią, niejedna niedorzeczność, niejedna wielka niewłaściwość i excentryczność, ale dla czegoż wyjątki mają podkopywać regułę? Zostawmy wyjątki na uboczu, zajmijmy się rzeczą samą, przede wszystkim, weźmy ją z dobrej strony, nim nam odwrotną stronę medalu zbadać kolejno przyjdzie.

Owe szczęśliwe, bajeczne czasy minęły może i bezpowrotnie, kiedy to niemal każda panna znajdowała wcześniej towarzysza doczesnej wędrówki i progi własnego domu były granicą, u której sprawa kobiety się kończyła; dalszy rozwój jej działalności był tak naturalnym, tradycyjnym i zwyczajowym że nie było co o nim rozprawiać. Zdarzały się i tu wyjątki, ale nie o nie nam chodzi. Te złote czasy popsuły się; mężczyźni, wciągnięci w szalony ruch dobijania się o stanowisko, po długich i kosztownych nieraz studiach, nie są w stanie wcześniej zakładać rodzinnego gniazda, nie są często w stanie nawet i później, wobec trudności materialnych, wobec, wyznajmy szczerze, przesadnych wymagań panien. Zmniejszyła się więc sposobność najprostszego rozstrzygnięcia losu kobiety; ogromna

liczba nie mogąc rachować na zamążpójście, a nie mając funduszów, musi przecież żyć, być czemś,—coś zarabiać, aby nie jeść, wedle przysłowia—z cudzego ulla.

Obliczono w Niemczech że 39% kobiet za mąż nie wychodzi i pozostawione są własnej zabiegliwości i siłom. W innych krajach procent ten jest nieco mniejszy, u nas, kto wie, może ten sam, może i większy, bo warunki ekonomiczne trudniejsze. Zatem, cóż ten legion ma czynić? Wziąć się do pracy naturalnie. Ale do pracy każdej przygotować się trzeba, trzeba się wszystkiego *nauczyć*, a właśnie ta nauka, wywołuje kobietę z domu, zbliża ją z ruchliwym życiem ogółu, z domowego zamknięcia włącza ją w koleżeństwo szkolne, potem zawodowe, fachowe, i wyzwala z odosobnienia, zatem użyjmy wyrazu: *emancypuje*. Czy tego rodzaju emancypacja jest złą? skrzywną? bynajmniej. Jest konieczną, obowiązkową, więc dobrą. Ale pole pracy się rozszerza, nie mogą wszystkie samotnie stojące kobiety być nauczycielkami, szwaczkami, zarządczyniami gospodarstwa, miejsce by zabrakło, i zdolności są rozmaite. Zaczęły się więc dobijać o inne zajęcia i dopięły celu. Są już w różnych urzędach, w handlu, przemyśle, kupiectwie, na pocztach, telegrafach, przy telefonach, zaczynają pracować i w aptekach, w szpitalach, na wielu innych stanowiskach i przyznano im sumiennosc, pilnosc i duzą wytrwalosc. Czy ta samodzielna praca przedstawia coś karygodnego, coś oburzającego, coś coby ubliżało kobiecej godności? Wcale nie! Karygodnym, oburzającym jest właśnie—lenistwo, próżniactwo, niedołęstwo. A jednak, tego rodzaju pracownice, zarabiające ciężko na kawałek chleba dla siebie i nieraz dla gromadki rodzeństwa, obrzucane są wgardliwym mianem—*emancypantek!* Dlaczego? Bo na szerszej widowni, na miejscu kędy się jednolita kobiety styka z tłumem, więcej razi i łatwiej się uwydatnia każda niewłaściwość postępowania danej osoby, każdy nietaktowny postępek, trywializm lub lekkomyślność.



Czy tego wszystkiego nie mają sobie nieraz do wyrzucenia kobiety żyjące w swem ciasnym kółku? Naturalnie że mają, tylko że tam mniej widzów, zatem mniej sędziów, więc ujemne strony przechodzą niepostrzeżenie; tam, gdzie się jest na oczach ludzi, każdy krok się uwydatnia i spotyka doraźną krytykę. Ztąd więc wniosek ogromnej wagi: jak to uważać powinny kobiety pracujące wśród ludzi aby właśnie tej pracy, tego swego szlachetnego stanowiska nie dyskredytować, bo oczy ludzkie, do sądu skłonne, patrzą na pozory i na jednostki, i ich wrażeniem mierząc istotę rzeczy, uogólniają swoje zapatrywanie na całość sprawy. Idźmy dalej po drodze pracy kobiecej, wyżej, kędy ona musi trudne, uniwersyteckie przechodzić studia aby dobić celu; i nie tylko owe studia utrudniają jej drogę, ale tysiączne przykrości, podrażnienia, nieraz szyderstwa i zuchwałstwo cierniem jej się ścielą pod nogi. U nas, jednostek narażających się na tę drogę jest jeszcze niewiele, sprawa uniwersytecka kobiet znajduje się w zawiązku, tu i tam pojawiły się kobiety lekarki i są dobrodziejkami dla społeczności kobiet i dzieci, ale gdzieindziej, jest to objaw niemal codzienny, nie budzący podziwu, zlany już z całą falą normalnych stosunków miejscowych i dlatego tam słuchaczki uniwersytetów nie nazwałby nikt z przekąsem—emancypantką. Wszakże w Ameryce do 4,000 kobiet praktykuje jako doktorki medycyny, są z życzliwością witanymi przybyszami na prowincyi, a w większych zbiorowiskach stołecznych mieszkają do 10,000, nawet do 20,000, dol. rocznego dochodu!

I jakże tu walczyć z tak oczywistym faktem i zaprzeczać mu wręcz że niepotrzebny! Widać że leży to w ogólnym ruchu świata że i kobieta ruszać się w nim musi, a ruszać się tak, jak to potrzeba miejsca, czasu, urządzeń krajowych, zwyczajów dyktuje. Jeśli dziś jeszcze u nas ten ruch postępowy tak się nie objawia, nie potępiajmy go gdzieindziej, może on i u nas kiedyś się ustali, jeśli nasze warunki będą go potrzebowały. Wśród pozornego chaosu w jakim nasz współczesny świat się obraca, widnieje jednak logiczna busola wytykająca stałe bieguny temu tylko, co jest pożyteczne, zasadnicze, trzeźwe, co przez siłę swego objawu daje rękomię żywotnego czynnika w społeczeństwie. Bądźmy więc spokojni i o ową emancypację; to co w niej przejściowe, skrajne, dziwaczne, co jest naleciałością jednostek któreby na każdym polu gubiły sprawę,—to minie; grunt rzeczy zostanie — praca tych ogromnych zastępów niewieściech idących odważnie w codzienny bój życia, nie o zbytki, nie o przyjemności, nie o—użycie, lecz poprostu, w bój—o życie, o chleb, odzienie i dach! A jeżeli w tę sprawę zajrzemy jeszcze głębiej, ujrzymy tam nie tylko na tem ciężkim polu zarobku kobiety samotne, bezdomne, lecz spotkamy matki kilkorga dzieci, zamężne osoby wyżej nad robotniczą klasą stojące, które muszą się „emancypować“ z gniazda domowego właśnie dlatego, żeby się to gniazdo z nędzy nie rozleciało, żeby ten drobiazg wykarmić, przyrodzić i oświecić. A tam, na samem dnie społeczeństwa, gdzie dzień z dniem skleja się potem krwawej pracy robotnika, tam kobieta musi mieć nieustraszoną wytrwałość aby ratować swą rodzinę, a często i tego właśnie męża, który biedak, analfabeta, nieoświecony, zniecierpliwiony trudem, topi swe troski w alkoholu złego gatunku i nieraz wraca do gniazda nie jako podpora i pomoc, lecz jak widmo złowrogie płoszące spokój. Będziemy potępiać tę emancypację? Byłoby to nieporozumieniem z prawdą wypadków istotnych, świadczącym o nieudolności poglądów na stan społeczeństwa współczesny. A od tego dna ludzkości przerzucmy się w jej wyższe pokłady, czy walka tam przypadkiem nie jest jeszcze trudniejsza, jeszcze boleśnieszka, bo więcej tam trzeba zewnętrznych pozorów na ukrycie niedostatku, bo więcej jest wymagań na każdym punkcie, bo ostrzejszy tam sąd, a wrażliwszy duch na sprzeczności życiowe. Zdaje mi się więc, że do tej działalności samoistnej kobiet musimy się przedewszystkiem odnieść ze współczuciem, z uznaniem, z uwzględnieniem, z tem trzeźwym spojrzeniem w konieczność takiego ich położenia i dążenia.

Nie możemy przecie się „kłaść na drodze kamieniem, na ruch ludzki nie pozwalając“—bo on i tak dalej popłynie, a my osiadłymi na mieliznie z krótkowidnym poglądem. Emancypację zatem dającą się określić pracą kobiety, jej samodzielnością,

pragnieniem zabezpieczenia sobie tej pracy, uprawienia jej sobie, ustalenia, możemy uważać jedynie za dobry objaw w rozwoju ludzkim i nie obrzucając go nieuzasadnionemi zarzutami lub śmiesznością, nie utrudniać mu drogi i nie drażnić. Przyjrzymy się teraz ujemnej stronie rzeczy.

Niecierpliwili się ongi któryś z myślicieli tem, że przy każdej idei wielkiej, nowej, pięknej, czepia się tyle niedorzeczności, głupstw, nadużyć, śmieszności! I dziś jest to samo. Obok sumiennej pracownicy fachowej czy uniwersyteckiej, dla której celem jest zdobyć stanowiska i chleba, widzimy dziwolagowy typ w binoklach, z krótkimi włosami, w męskim paltociku, z szorstkiem ułożeniem, głoszący z trójnoga szumne frazesy o wyzwoleniu kobiety, o jej ucisku i niewoli, typ wysuwający siebie na front, z wielką flagą jaskrawej błageryi, z tym najniższego rodzaju egoizmem zwracania na siebie publicznej uwagi, chociażby za pomocą cudacznej oryginalności. Nic dziwnego że takie okazy zrażają ogromnie, że niesmacznym swem wrażeniem niejednokrotnie są zgubnym powodem skrajnych potępień rzucanych na całą sprawę kobiet. I gdy się przyjdzie bliżej zetknąć z takimi emancypantkami, to jakoś zawsze na jaw wyjdzie, że właściwie są niezem, do niczego *osobiscie* nie dążą, nie pracują, i tylko tak hałasują sobie na gościńcu sprawy kobiecej; a gdyby im kto zaproponował wziąć się do tłuczenia kamieni na tej bardzo jeszcze nieobrobionej drodze, toby im się nie chciało wyjąć rąk z kieszeni i do roboty się schylić. Możnaż je zatem zaliczyć do zastępu tworzącego zdrowy objaw w społeczeństwie? Gdzież tam, są to dziwolagi które obsiadają każdą zresztą ideę, mianowicie nową, rodzaj szkodliwych gąsiennic podjadających liście i owoce na dobrem drzewie.

Nadużycie idzie jeszcze dalej, bo pod pozorem rzekomej emancypacji, samodzielności, wyswobodzenia się, dzieją się i bardzo złe rzeczy, któreby przy zdarzonej sposobności czepiły się zarówno każdej innej formy, byle poziome swe zamiary uskutecznić. Strzeżmyż się więc tego jednoznacznego rzeczy dobrej, ze skrzywioną jej formą, byłaby to krzywda wyrządzona tysiącom uczciwych i zdolnych pracownic, a zbyt wielki tryumf tych właśnie wyjątków, które bez żadnej zasługi zyskiwałyby w sądzie ogółu herostratową sławę podkopania użytecznej budowy.

Jest mniemanie, że kobieta oddająca się pracy za domem, nauce, wyższej wiedzy, fachowym zajęciom, uniwersyteckim studjom traci swoją—*kobiecość*, emancypuje się ze swego niewieściego uroku, powabu, a nabywa niewłaściwych jej naleciałości upodabniających ją z mężczyzną. Jest w tem mniemaniu i szeptu prawdy i dużo pozorów, a owa „kobiecość“ jest też jednym z nieporozumień do którego w przyszłości powrócę obszerniej. Obecnie wyczerpując błędne kółko słowa „emancypacja“, zaznaczam: czy to tylko na polu pracy panie się wyzwalały? Gdyby tak dobrze poszukać, tobyśmy emancypację znaleźli bodaj że na każdym kroku, przytrzymałyśmy ją na gorącym uczynku tam właśnie, skąd to niby najbardziej ostre gromy padają na głowy kobiet torujących sobie drogę w pracy; przyłapałyśmy ją w pełni tam, gdzie nie mogłaby w żaden sposób bronić się ideą zarobku, potrzeby samodzielności lub t. p.

Zapytajmy tych licznych zastępów kobiet, postrojonych do zbytku, przechadzających się po ulicach miasta, dlaczego one się z domu emancypują, kiedy tam dzieci zostały same ze służbą, lub z niepewnych zasad endzoziemką, kiedy tam gospodarstwo kuleje bez dozoru, a rachunki wydatków zaległy może od dawna?

Dlaczego to panie *wyzwalają* się od świętego obowiązku matki karmienia swoich dzieci, dlatego aby swobodniej, bez przeszkody używać światowych przyjemności? Zdrowie nie pozwala? W jednej trzeciej części wypadków zaledwie, w dwóch trzecich—miły świątek!

Dlaczego to w owych pięknych, z nielicznymi wyjątkami, salonach, wyzwala się kobieta od wstrzeźliwości w mowie i tak swobodnie, tak swawolnie i nawet zdroźnie rozmawia, że emancypuje się tą śmiałością daleko poza obręb jej właściwy, i istotnie, aż smutno patrzeć na te burżetowskie panny, na te flaubertowskie mężatki lecące na oślep—w toń inteligentnego niby flirtu, którego ujście jest zawsze

w przepaści. Wszakże to także wyzwolenie—z powagi, z uroku, z zasad, z sumienia często. To także emancypacja swego rodzaju, tylko że nie dla zarobku, lecz wprost dla utraty czasu, zdrowia, pieniędzy, niestety czasem i sławy. Nie sąż emancypantkami te panie, które dosiadają bicykla i ku uciesze tłumu przelatują z szybkością błyskawicy? czy może na jaką robotę tak śpieszą? Oh, to wątpliwe, i lepiej o cel tego pościgu nie pytać. Ileż to razy spotykamy się z lekkomyślnym wyzwaniem się od obowiązku, z istotną rejteradą ze stanowiska domowego i rodzinnego, dlatego tylko żeby wymaganom rozbawionego świata dogodzić, żeby dogonić wszystkie rauty, bale, wyścigi, fajfokloki, wizyty, rewizyty, przedstawienia, wszystkie te mety do których się startuje z przeszkodami próżnostek, kosztów, zazdrości, intryzek, bezsenności i w końcu wygrywa znużenie i przesyty, wielkie wewnętrzne bankructwo—nudy ducha.—Rozróżnić więc wypadnie ściśle i bezwzględnie ową emancypację—dla pracy, od emancypacji—dla sportu, bo zaprzeczyć istnienia tego dualizmu nie można, jest on faktem. Przyglądać się owemu sportowi kobiet na arenie światowej możemy z ubolewaniem, żalem, przestroją, o ile nam czasu na to staje, ale pilnie i stanowczo bronić musimy rzeczywistego pojęcia o działalności kobiety, bo wykrzywianie go byłoby nie tylko nieporozumieniem, ale istotnym, niesprawiedliwym nadużyciem.

Szczesna.

## Z międzynarodowego kongresu kobiet W BERLINIE.

### II.

Dzieląc się w dalszym ciągu z naszymi czytelniczkami treścią kongresu kobiet w Berlinie, podnieść musimy dziś kilka zaledwie z tych licznych, a długich przemówień których nam podawać niepodobna obszerniej. Książka pamiątkowa kongresu mająca wyjść w początkach Listopada obejmie je wszystkie w zupełności, a mamy nadzieję, że wydawnictwo to, gościnniejsze będzie dla przemówień naszych Polek, niż pisma niemieckie dające w swych sprawozdaniach zaledwie szkieletowe okruszki prac owych, a nawet *pismo dla kobiet* „Deutsche Hausfrauen Zeitung“, przez przewodniczącą kongresu wydawane, zadowolniło się pobieżnymi tylko wzmiankami o polskich współuczestniczkach.

Czy to jest uprzejmość międzynarodowa? Wątpię. Wracając do porządku dziennego, mamy przed sobą bardzo wyczerpujący i zajmujący referat panny Miesner „O kobiecie niemieckiej w szkole ludowej.“ Już w 15 wieku widzimy ją w szkółce uczącą dzieci, dziewczynki i chłopców, a wpływ jej i stanowisko rozwijały się stopniowo, tak że do dziś, w Prusach samych liczbą ludowych nauczycielek wzrosła do 9,309, a na sam Berlin przypada ich 1,200. Użala się tylko p. Miesner, że płaca ich nie dorównywa wynagrodzeniu jakie pobierają nauczyciele i nie przewyższa kwoty 2,200, rocznie, której zresztą tylko Berlin udziela w tej wysokości. Zważywszy różne utrudnienia w zawodzie, a na prawie pracy swej się opierając, domagają się ludowe nauczycielki następujących ustanowień: 1) Jednaką państwową opiekę nad wykształceniem nauczycielek jaką się cieszą nauczyciele, i dopuszczenie do wszystkich rządowych egzaminów nawet do rektorzyńskiego. 2) Liczniejse udzielanie stanowisk w szkołach żeńskich, a do połowy w klasach mieszanych. 3) Kierownictwo naczelne szkół żeńskich. 4) Jednakie prawa za jednakie obowiązki, przedewszystkiem, jednaką zapłatę za jednaką pracę. 5) Miejsce i głos w władzach szkolnych, komisjach i deputacjach. 6) Inspektorki szkolne, mianowicie dla działu robót kobiecych, który to dział jeszcze jest przez męskich inspektorów dozorowany!—Wszystkie te warunki są całkiem uzasadnione, a do-



bitnie i pięknie określone stanowisko kobiety w szkole ludowej jako wychowawczyni tej masy dzieci z najniższych klas społecznych, tem jaśniej i wymowniej popiera jej wymagania, wygłoszone przez p. M. gorąco i sympatycznym głosem.

Panna Hager mówiła o szkołach dopełniających poddając takowe ostrej krytyce w ich obecnym urządzeniu, p. Laura Hermann przedstawiała swe poglądy o szkole żeńskiej wyższej i o seminariach nauczycielskich, panna Dupont, (z tytułem oficera Akademii francuskiej), rozwijała ogólne zasady pedagogiczne, a p. Schlieman dała sprawozdanie o czynnościach i pożytecznych zabiegach Stowarzyszenia niemieckich nauczycielek w Paryżu. Dalej, na posiedzeniu poświęconem sprawie żeńskich gimnazjów, uniwersytetu i sztuki, przemówiła między innymi pani Herm. Preuschen-Telmann, zaznaczając jaskrawo, a miejscami nieco złośliwie dla brzydszej połowy rodzaju ludzkiego, z jakimi to się ciężkimi warunkami spotyka młoda adeptka na artystkę, chcąc talent wykształcić i samoistnie stanąć. Prelegentka zaznaczyła od razu że „mylnem“ jest przysłówie jakoby ta kobieta była najlepszą, o której się „najmniej mówi“, że o sławę dobijając jej się również wolno jeśli ma za sobą *prawo talentu*, nacisk jednak kłaść trzeba „nie tyle na rozwój wielkich „geniuszów, które sobie same drogę torują, ile na popieranie drobniejszych zdolności artystycznych kobiet pracujących dla zarobku jak i niejednego „młodego talenta“ „Zazdrość mężczyzny—mówiła p. P. „prześladuje kobietę malarzkę i autorkę, pomimo tego „ruch artystyczny rośnie, chociaż niejednego młodego talent uczennicy wyzyskiwany jest jak „eine milchende Kuh, z której nauczyciel pęty korzysta, aż „sobie jej pracami wilę wybuduje, do której by nie „doszedł własną zdolnością! Wymowna mówczyni nie żałowała żółci do swego ref ratu, ale miała w tem słuszną rację że kobieta z talentem malarskim i rzeźbiarskim, nie ma gdzie się kształcić bo ostatecznie tylko Rzym otwiera swą akademię nie dla—mężczyzny, nie dla kobiety, lecz dla—talentu, tego Bózego dziecka, które nie powinno doznawać przywilejów rodzaju. No, ale Rzym jest daleko, choć wszystkie doń wiodą drogi, więc nie dziwnego, że pani Preuschen tak dobitnie odczuła walkę kobiecego talentu z nieubłaganą halabardą, jaka jej wejście do akademii środkowoeuropejskich zagraża.

Panna O. Bistram mówiła o gimnazjum żeńskim w Karlsruhe, panna Schivmacher z Paryża o uniwersyteckich studiach kobiet „potrzebnych im jak chleb powszedni,“ pani Rosina Marsits z Temeszwaru o wychowaniu kobiet w Węgrzech, gdzie rząd 2/3 z funduszu na oświatę wydaje na kształcenie dziewcząt, a nauczycielek ludowych jest 4,000, miejskich 584. Przejdźmy do referatów, które nas bliżej obchodzą.

Pani D-r Teodora Krajewska z Bośni, jako przez rząd mianowana lekarka, wystąpiła w swym poważnym mundurze czarnym z ciemno-czerwonym kołnierzem z trzema złotymi gwiazdami i obznajmiła swych słuchaczy z lekarską działalnością swoją w Dolnej Tużli w Bośni. Ma ona tam pełne prawa urzędnika i została przez władze państwowe wezwana przede wszystkim, aby stać się pomocą i ratunkiem w chorobie dla żeńskiej ludności mahometañskiej, bo, jak wiadomo, kobiety islamskie jeszcze zamknięte w haremach, lekarza nawet uważać muszą za wrogię gaura i cierpienia swe łasce proroka zostawiać. Kobieta lekarka jest dla nich dobroczyńcą, niosącym nie tylko ulgę fizyczną lecz i trochę światła rozjaśniającego zabobonną atmosferę amuletów, jedynych dotychczas środków zaradczych na choroby i smutki.

Pani Krajewska w zajmującym obrazie kreślonym na tle życia kobiety w Bośni zdradziła dużo nabytego doświadczenia, jasnym umysłem, współczującym sercem i gruntowną wiedzą.

Pani D-r Fil. Daszyńska, docentka Humboldtskiej akademii, wzięła sobie za temat „Przeludnienie kobiet“ i zainteresowała liczne zebranie swym treściwym i logicznym wykładem. Przeludnienie okazuje się w owej znacznej liczbie niezamężnych i niezajmujących sobie powołania kobiet. Na drodze dobrze uorganizowanego ruchu niewieściego możnaby temu przeludnieniu zaradzić, czyniąc przystępniejszymi stanowiska fachowe tym, co ich poszukują lub przygotowując do nich się pragną—a usuwając te wszystkie

braki i niesłuszne utrudnienia na polu pracy już dla kobiet dostępnej i wywalczonej.

Pani Bujwidowa z Krakowa przemawiać miała „O studiach uniwersyteckich kobiet polskich“ lecz z powodu nie możebności jej przyjazdu, referat ten odczytała pani z Moszczeńskich Rzepecka z poznańskiego, oprócz własnego odczytu: „O ruchu kobiecym w krajach polskich.“ Referat p. Bujwidowej zawiera dzieje usiłowań polek na polu pracy uniwersyteckiej. Krajowe uniwersytety nie są dla nich otwarte, średnie szkoły nie przygotowują do wszechnic zagranicznych; kandydatki zatem nim na kursa wstąpią, mają do zwalczenia ogromne trudności z przygotowaniem się do przyjęcia na uniwersytet, którego muszą szukać daleko, na obczyźnie. W Krakowie otwarto tej jesieni *pierwsze gimnazjum żeńskie*, staraniem Towarzystwa imienia Kraszewskiego. Towarzystwo to opiekuje się gorąco i umiejętnie sprawą polskich studentek i ułatwia im trudne zadanie wytrwania w pracy i zdobycia środków materialnych. Niejedna z Polek zajmuje do dziś niezależne i zaszczytne stanowisko. W r. 1880 osiedliła się w Warszawie pani Tomaszewicz-Dobrska pierwsza kobieta-doktor, potem w r. 1882, p. Teresa Ciszkiwiczowa.

O dalszych przemówieniach Polek pomówimy obszerniej w następnym sprawozdaniu z kongresu, zaznaczając dziś już z przyjemnością, że referaty naszych współuczestniczek, dalekie od polemicznej ostrej przymieszki, odznaczały się wszystkie spokojną i wyczerpującą treścią, a zajmującą i opracowaną stroną zewnętrzną.

Szczęсна.

(Dokończenie nastąpi).

## Nie odchódź!

Wiecznie jestem przy tobie, blizki, czy daleki,  
Oddalona czy blizka wiecznie jesteś ze mną!...  
Z twem imieniem się budzę, zamykam powieki,  
W snach moich wiecznie widzę główkę twoją ciemną.  
Twój obraz w mojej duszy bez ustanku gości:  
Rano chmurę rozpędza z nad mojego czoła,  
Wieczorem z ust dobywa wyrazy miłości  
I wszystkie barwy tęczy rozlewa dokoła.  
Życie niemało cierni dało mi w udziale,  
Na wielu snów czarownych już byłem pogrzebie,  
Lecz wyrzekać nie będę, dotąd, mój aniele,  
Los zawistny mi jednej nie odebrał ciebie...  
Ty jedna wszystko jesteś zastąpić mi w stanie,  
Ty jedna z wszystkich ludzi na szerokim świecie—  
Dokąd ty jesteś ze mną, o moje kochanie,  
Wszędzie dla mnie i wiosna, i szczęście, i kwiecie.  
Ach, przy tobie jutrzeńka nawet się rumieni,  
Ziemia cała przecudnych barw setki przywdziewa,  
Słońce więcej wydaje złocistych promieni,  
A w duszy szczęście głosem archaniołów śpiewa...  
Lecz bez ciebie,—czem życie? Męczarnią bez końca,  
Goryczą i konaniem, i pustką grobową,  
Bez nadziei promienia, odrobiny słońca,  
Pustką, jakiej określić nie potrafi słowo.  
Więc nie odchódź odemnie, mój aniele złoty,  
Bo na samą myśl o tem gorzko mi i ciemno,  
Bo na samą myśl o tem umieram z tęsknoty,  
Pusto, strasznie i ciężko we mnie i przedemną...

Selim.

# LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg).

W Lubranceach był ruch i krętanina, lada dzień spodziewano się przyjazdu Szańskich, pani Zeneidy i Jadwini. Można było nareszcie sprawdzić to twierdzenie, że im rzadziej się przyjeżdża, tem więcej jest się pożądanym. Nagły przyjazd pani Zeneidy do kraju, wywarł na Lubranieckim uczucie zdziwienia, a następstwem tego zdziwienia były porządki, przygotowania i nadetatowe przystrajanie honorowych gościnnych pokoi, najpiękniejszych jakie Lubrance posiadały.

Lubranieckiemu chodziło bardzo, ażeby na krytykę nie zasłużył, a pani Zeneida nikomu jej nie żałowała, Lubranceów nie wyjmując, rozmaite zakorzenione w nich, przeszłowieczne zwyczaje, nazywając głośno i otwarcie: „Dziczyną azyatyką.“

„Azyatyka dziczyna“ miała swoich przedstawicieli: archeologiczne zabytki w ludzkiej postaci, które poczuwały się powołane do odgrywania jakichś ról honorowych i fikcyjnych, dających im w tym domu prawo obywatelstwa dla tej jednej tylko przyczyny, że tam były i zamierzały być do końca życia.

A zatem widziało się: wychowawice i protegowane jeszcze matki Lubranieckiego, tych protegowanych protegowane i przyjaciółki, dawne bony i *garde malade'y*, bibliotekarz dla porządku w bibliotece, którego nikt nigdy nie naruszał, archiwista, który w wolnych chwilach, od zajęcia, którego nie miał, uczył panny służące francuzkiego języka, którego nie posiadał. Cała ta archeologia stanowiła zupełnie oddzielny, sam w sobie światek, do którego z zewnątrz żaden odgłos nie dochodził.

Rodzina Lubranieckich przeistaczała się, powiększała lub zmniejszała; hrabia Jan żonaty był dwa razy, każda z jego żon odmienny ton do domu wprowadzała, chciała z początku modernizować ten tryb życia, przyzwyczaiać wszystkich do jakiegokolwiek ładu i zajęcia, ale zakorzenione mody i osoby silniejsze były niż ich chęci, tembardziej, że samego Lubranieckiego otoczenie to bawiło i był do niego przyzwyczajony od dzieciństwa. W końcu też każda młoda pani sama się naginała do odwiecznego trybu życia starego wielkiego Lubranieckiego pałacu, który już zdaleka oko wabił malowniczymi i okazałymi kształtami, rozmiarom imponował, rozmarzał dawnymi pamiątkami i zabytkami znawcą zajmował dziełami sztuki, a z zakątków jego rozchodziła się jakaś atmosfera przeszłości martwa a uroczą wypełniona wspomnieniami tych, których już niema, których duchy, zakłęte w portrety i zbroje na ścianach porozwieszane, zdawały się patrzeć wciąż jednakowo i spokojnie na tych, którzy się u ich stóp przesuwali. Ustąpiły ze świata obydwie ostatnie hrabiny Lubranieckie, a choć ich nie było, tryb życia szedł ciągle jednakowym torem, światek starych domowników nie odczuwał tej zmiany, żył nadal swoim życiem odosobnionem, miał swoje troski i uciechy, swoje ambicje i zatargi, marzenia i rozczarowania, których przedmiotem była najeźdźcą jakaś suknia po zmarłej hrabinie, albo jakieś poufne, nadzwyczajne zlecenie pana hrabiego, dowód szczególnych łask i wyróżnienia. Wszystko to było zakulisowe, niewidzialne, gospodarowało sobie każde na swoją rękę, osobno, a na widowni światowej, t. j. w apartamentach Lubranieckich ukazywała się tylko dla złozenia życezeń w nadzwyczajnych rodzinnych okolicznościach jak: imieniny, chrzciny, śluby i pogrzeby. Lubraniecki lubił to swoje tło, na którym jego postać jaskrawo się ma-



lowała, bez tego otoczenia nie pojmował życia w Lubrańcach.

Cieszył się bardzo przyjazdem pani Zeneidy. Dominator, z Lubrańców nierad wyjeżdżał, lubił bardzo, gdy go w domu otaczało wiele osób. „Azyatycka dziyczyna“ nie podzielała tymczasem radości swego pana. Pani Zeneida nie cieszyła się ich sympatją. Krytykowała ogólną beczyność, a wszystkim honorowym dygnitarkom, ministrom bez tek, klucznicom bez kluczy, bonom bez dzieci, nieczytającym lektorkom, i niepiszącym sekretarzom, honorów należitych oddawać nie lubiła. Jak również jej pan na służącą, francuzka rodem, była twardym orzechem, na którym Lubranieccy domownicy nieraz sobie zęby forsowali.

Nadszedł dzień przyjazdu. Pani Zeneida i Szańscy spodziewani byli z ostatniego wieczornego pościgu. Zupełnie niespodziewanie po południu zjawił się Henryk. Pomimo, że mieszkał niedaleko, jednak w Lubrańcach był gościem niezbyt częstym.

Już było dosyć późno, Lubraniecki i Henryk siedzieli w bibliotece. Henryk spoglądał na przemian w okno albo na zegarek, Lubraniecki przerzucał dzienniki.

Był to człowiek około lat sześćdziesięciu, małego wzrostu, szczupły, na stożkowatej głowie od czasu do czasu błędziły w półkole ślady włosów, które ją dawniej zarastały. Zaniedbany ubiór, w którym nie znać było żadnego dążenia do porządku i czystości, niemile kontrastował z wyszukaną elegancją syna i był zwykle przyczyną wielkiego zdziwienia tych, którzy nie znając osobiście Lubranieckiego ani jego obojętności na wygląd zewnętrzny, a spodziewając się znaleźć w jego osobie wykwińskiego i imponującego magnata, widzieli naraz niepokojącego człowieka, w starym i zabrudzonym odzieniu.

— Nie wiesz,—zapytał syna,—czy Szański już skończył kolonizację Słobodowa?

Słobodów, był to majątek Szańskiego, który jako zagraniczny poddany, obowiązany był posprzedać wszystkie swoje posiadłości położone w tej samej co i Lubrańce gubernii. Termin był oznaczony a już dobiegał końca, o kupca z kapitałem trudno było, chłopci korzystali z okoliczności i rozkupowali za bezcen folwarki jeden za drugim. Kapitał za nie otrzymany nie mógł dać nawet w dziesiątej części procentu wyrównającego dochodowi z gospodarstwa; zresztą trzeba było zapłacić długi hipoteczne, które na ziemi ciążyły, Słobodów był już tylko skrawkiem z dużej niegdyś fortuny, ale i na niego kolej sprzedaży przyjsć musiała. Szański stał nad brzegiem ruiny.

Henryk spoważniał na wspomnienie interesów szwagra a po chwili odpowiedział:

— W tym miesiącu ma się skończyć kolonizacja Słobodowa. Popyt bardzo niski, mniej się Szańskiemu okroiło, aniżeli się spodziewał.

— Biedna Helenka!—westchnął Lubraniecki,—nie mówmy lepiej o tem, bo mi to zbyt wielką sprawą przykrość.

Zwykle swawliwie odsuwał od siebie wszystko, co niemile na nim czyniło wrażenie; odwracał się nawet od nieszczęść swoich najbliższych, by się nimi nie martwić i nie przejmować.

— Powiedz mi, jaka jest ta Jadwinia D.—zapytał by zmienić przedmiot rozmowy.

— Nawet sobie papo nie wyobraża jak jest piękna i miła,—odrzekł Henryk z przekonaniem.

Był poruszony, o Jadwinie myślał bezustannie, chodził żywo, z niezwykłym zajęciem przyglądał się wszystkim szczegółom. Czy jej się tutaj aby podobać będzie? Czy potrafi się przywiązać do swojego przyszłego otoczenia? Nie wiedział jakim sposobem znalazł się w przygotowanym dla niej pokoju. Wszystko mu się tam wydało zamało piękne i za skromne, zauważył zupełny brak kwiatów. A Jadwinia kwiaty tak lubiła! Zniecierpliwiony i zły na drugich i siebie zeszedł szybko na dół, w przedpokoju spotkał służącego a wspomniawszy mu coś o stu dyabłach i piorunach, kazał jak najspieszniej iść do ogrodnika z poleceniem, aby w oranżeryi bukiet ułożono i zaniesiono go do pokoju panny D.

Turkot się rozległ, w kilka chwil później pani Zeneida, Szańscy i Jadwinia znaleźli się w przedpokoju.

Pani Zeneida po kilkunastu latach niewidzenia witała brata jakby się z nim rozstała dnia poprzedniego, Jadwini zaś cała uwaga koncentrowała się na Lubranieckim.

Herbatę śpiesznie podano, każdy wzdychał do odpoczynku. Lubraniecki rozpromieniony zabawił swoich gości, Henryk był zajęty tylko Jadwinia a Jadwinia Lubranieckim.

— Jak się miewają dzieci i kto się nimi opiekuje?—spytała pani Zeneida, gdy sobie przypomniała, że z drugiego małżeństwa jej brata pozostała jedenastoletnia dziewczynka i chłopczyk od siostry o rok młodszy.

— Dziękuję, zdrowe. Opiekę mają staranną. Opiekunką ich główną jest bardzo poważna osoba, wdowa, niedawno sprowadziłem nauczycielkę francuzkę, a dawną bonę zatrzymałem, by pielęgnowała ich zdrowia.

Jadwinia z roztargnieniem słuchała Henryka, który wymownie i z rzadkim u niego zapałem rozrzucał plany na urozmaicenie pobytu jej w Lubrańcach. Ona tymczasem na Lubranieckiego wciąż patrzyła, a smutne i ponure ogarniało ją przygnębienie. Więc naprawdę los jej zależny jest od tego niepozornego człowieka? I jej szczęście, jej blask światowy spoczywa w brudnych rękach tego, który się wydawał jakąś plamą, dysonansem, wśród wykwińskiego otoczenia swego pałacu? Wrażenie na niej tylko ten wywierał, kto imaginację podniecał i bawił. A to tymczasem była marna istota nie zdradzająca, jak na pierwsze wejście nawet żadnej umysłowej wyższości!

A jednak.. był bardzo potężny... miał złoto i był ojcem Henryka! Uczuła, że była prochem w obec niego! Ona! Piękna jak Venus, wspaniała jak Minerva, a pyszna jak Juno! Zaczynała nienawidzić tego człowieka, o którego względy przyjechała się ubiegać! Nienawidziła go za to, że był od niej potężniejszy i silniejszy, że gdy on zechce, do jego woli nagiąć się będzie musiała!

Wszyscy się spać rozechodzili, Lubraniecki i Henryk odprowadzali panią Zeneidę i Jadwinę do ich pokoi.

— Dobranoc,—rzekł Henryk na schodach do Jadwini, gdy ich tamci trochę wyprzedzili — a nie zapomnij tego, co ci się śnić będzie. To bardzo ważne. Pierwszy raz w Lubrańcach nocujesz, taki sen zawsze się sprawdza. Czy chcesz? Mogę ci twój sen naprzód powiedzieć: Będzie ci się śniło, że jest ktoś, kto cię kocha, bardzo kocha, kto cię przez całe życie kochać będzie.

I Jadwinia uczuła na ręce serdeczny pocałunek. Ogarnęło ją jakieś niemile uczucie. Powiedział jej o swoim uczuciu tak jak zwykle, za oczami drugich, wśród półcienia kolorowej lampy, zawieszzonej w górze klatki schodowej, który zacierał kontury osób i sprzętów, w swej mrocznej atmosferze gubił Jadwinę i zaciemniał blask jej urody. Przez myśl przeszło jej zapytanie:

Czy miłość Henryka zawsze będzie taka trwała? Czy ten tajemniczy półcień, którym się otula będzie furką, przez którą ona, niepostrzeżenie i incognito wsunie się do domu Lubranieckich? Smutno, bardzo smutno!

W jej marzeniach były zwykle tylko bramy tryumfalne. Ale to było w myśli, na ustach, dla Henryka był uprzejmy uśmiech i słowo serdeczne.

— Dobranoc,—rzekła w końcu.

Rękę wysunęła z pod jego ramienia, ruchem zwinnym jej tylko właściwym, w którym było trochę elastyczności węża i zręczności kota, a najwięcej tego czegoś, co drażni nerwy i podnieca.

Przez resztę schodów lekko się przewinęła, i już jej nie było widać za drzwiami jej pokoju. Smugi kolorowego światła z góry pobiegły za nią, na drzwiach wstrzymały i spotkały się ze wzrokiem i myślami Henryka.

— Prawda papo, że nie przesadziłem, mówiąc, że Jadwinia jest fenomenalnie piękna,—rzekł Henryk do Lubranieckiego, gdy szli w stronę swoich sypialnych pokoi.

— O tak,—odrzekł Lubraniecki żywo i z przekonaniem.—Wspaniała. W balowej sukni i wielkiej sali musi się po królewsku prezentować. Doprawdy gdyby nie żałoba, bal bym dla niej wydał.

Lubraniecki się zarzucił. Wyraz „żałoba“ przywiodł mu na pamięć żonę, którą stracił przed dwoma miesiącami. Szczególniej do tej drugiej bardzo

był przywiązany, żal jego po jej śmierci bardzo tragiczne nawet przybierał kształty.

— Biedna moja Ewelina, biedna Ewelina,—rzekł z westchnieniem, tonem głosu odmiennym od poprzedniego. Zawsze kiedy sobie o niej przypominał, żałował jej serdecznie i prawdziwie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, d. 17 października.

Gwar wielkiego tłumu umilkł, muzyka przebrzmiała, ogień sztuczne i lampiony zagasły, wieńce zwiędły, a wieża Eiffla, utraciwszy swój płaszcz ognisty, czarnym szkieletem wysoko strzela w chmury; zachrypnięci i ogłuszeni paryżanie wypoczywają po skończonych uroczystościach.

Rzeczywiście trudno opisać to, co się tu działo w czasie ceremonii przyjęcia Najjaśniejszej Rosyjskiej Pary. Po prostu był to czarodziejski obraz, wyjęty z ram najświetniejszej epoki Francji, kiedy jej królowie równych sobie podejmowali.

Można też przyznać prezydentowi Rzeczypospolitej, że ze swego trudnego zadania wywiązał się znakomicie, nie zapominając o niczem, coby uświetniło przyjęcie, a zarazem mogło sprawić przyjemność Dostojnym Gościom.

To też na chwilę zamilkł ruch wszelkich spraw bieżących, a cały Paryż śledził w skupieniu przebieg świetnych uroczystości.

Od czasu wielkiej wystawy nie miał Paryż tylu gości w swoich murach, gdyż liczba przyjezdnych dosięga do miliona. Hotele, sklepy, restauracje i kawiarnie zrobiły świetne interesa, a teatry i inne przybytki zabaw do dziś dnia bywają przepełnione.

Nowości teatralne tegoroczne nie odznaczają się niczem wybitnem. Do szczęśliwszych należy Montjoye, pięcioaktowy dramat Feuillet'a, wznowiony w komedyi Francuzkiej. Zawiera on kilka ładnych scen, sporo szczęśliwych zdań, całość zawsze przedstawia się zajmująco — pomimo to nie odpowiada już dzisiejszym wymaganiom, które przedewszystkiem zaspakają niezamąconą prawdą, prawda w każdym calu. Już sam bohater razi nieprawdopodobieństwem. Ma on przedstawiać człowieka wyższego serea i umysłu, tymczasem całe jego postępowanie jest nacechowane wielką lekkomyślnością i błędami. Co prawda zostaje on za to wszystko srodcie ukarany i moralność w końcu triumfuje. Traktowanie sztuki przez artystów było wyborne, chociaż p. Leloir nie był w zupełności na wysokości zadania.

Za to panna Pierson czarowała, a panna Lara w roli młodej sentymentalnej dziewczynki potrafiła wzruszyć serca słuchaczy.

W teatrze Renaissance solennie obchodzono tyścieczne przedstawienie Damy kameliowej. Szczególną miała myśl Sara Bernhardt, wystawiając tę sztukę w epokowych ubraniach z roku 1845. Wielka tragiczka święci swoje zwykłe zwycięstwo, chociaż w pierwszym akcie tutejsza krytyka zarzuca jej brak młodocianego zapału. Za to w akcie trzecim i ostatnim nie można się oprzeć jej urokowi, tak jest piękną i wzruszającą. Rolę Maurycego doskonale wykonywa p. Guitry, reszta artystów gra też bez zarzutu.

Największe jednak zaciekawienie obudziło otwarcie Odeonu pod batutą dwóch nowych dyrektorów. Życia i odwagi brakowało dawnej dyrekcji, od nowej możemy się spodziewać jednego i drugiego. Jednym z dyrektorów jest Paweł Ginisty, dziennikarz i romansopisarz poważny—ma w prasie wielu zwolenników i przyjaciół. Jest sprężystym i czynnym bardzo.

Drugim jest Antoine, dawny aktor i dyrektor Wolnego Teatru, osobistość znana całemu Paryżowi. Zaczawszy od występów, sam on z niczego stworzył nową scenę i pobudził ją do życia. Przez lat kilka wytworzył swoją własną szkołę sceniczną,



może dla wielu zbyt śmiałą i realistyczną, w każdym bądź razie silną i odważną. Miał też swoich wielbicieli, egzaltowanych zwolenników, a z drugiej strony zaciętych przeciwników. Przeciwnicy składali się z autorów i aktorów scen wielkich, klasycznej krytyki i przeciętnej publiczności. Zwolennicy rekrutowali się z pośród młodzieży, pewnej liczby znawców—amatorów i niektórych śmiałych i przewidywających krytyków. Działacze pomiędzy temi dwoma obozami było trudno, a jednak długi czas umiał Antoine szczęśliwie omijać trudności. Śmiało szedł naprzód, dbając jedynie o wykazanie prawdy i obserwacji. Prawda, że w wystawionych dziełach używa potemu środków zbyt ostrych i jaskrawych, a nawet niekiedy grubiańskich, co bywa na początku każdej młodej kariery, za to pełnej siły i dobrych zarodków, które z pewnością będą wkrótce kiełkować.

Odeon, który stanowi niejako filię Moliera, nie może pójść ulubionymi torami Antoine'a. Repertuar Odeonu jeżeli się zmienia, to napewno musi jednak zachować coś z dawnej tradycji, w przeciwnym razie musiałby utracić część dzisiejszej publiczności, której napewno nie mógłby zastąpić liczebnie swoją dawną z bulwaru Sztrasburskiego.

Krytyka więc i publiczność ma oczy zwrócone na ten teatr, czekając z niecierpliwością na objawy rewolucyjnej, która jednak musi nastąpić wraz z nową dyrekcją. To tylko pewna, że na czele tej rewolucyjnej stana młodsi mistrze dzisiejszej szkoły pisarzy dramatycznych, jakimi są pp. Juliusz Lemaitre, Jerzy de Porto-Riche, Henryk Lavedan, Paweł Hervieu, Maurycy Donnay, Marceli Prevost i wielu innych.

„Nina la Blonde“ jestto dramat pięcioaktowy Fontanes'a, wystawiony w Théâtre de la République. Sztuka ta, którą można nazwać raczej melodramatem, ma wiele zręczności w układzie scenicznym i szybkości akcji, temat jednak grzeszy banalną powszedniością. Jest to historia młodego człowieka, niewinnie osądzonego o zabójstwo dziewczyny, którą kochał. Rzecz cała się wyjaśnia i prawdziwy morderca zostaje ukarany, sprawiedliwości staje się zadość i oto cała sztuka i jej rozwiązanie.

Wznowienie doskonałej operetki Burani'ego i Dubreuil'a zatytułowanej „François le bas bleu“, ściągając licznych widzów do teatrzyku Folies Dramatiques. Rzeczywiście operetka ta zasługuje ze wszech miar na uznanie. Jest wesoła, sentymentalna, a zupełnie przyzwoita, tak że matki mogą na nią chodzić ze swemi córkami.

W „Nouveautés“ trzyaktowy wodewil Duval'a p. t. Mignonnette jest poniekąd parodią perły operowej, słynnej Mignon Thomasa. Autor, nie mogąc się zdecydować nazwać swoje dzieło operą bouffe czy też sentymentalnym wodewilem, pozostał w połowie drogi, ztąd też powstały w sztuce pewne słabe punkta, niepewności i brak ożywczego ciepła, co jednak zaciera szczęśliwie doskonała gra artystów.

Szereg utworów literackich jest jak zwykle bardzo znaczny. Z jesienią spieszą wydawcy z nowościami, zalewając nas potopem różnorodnych dzieł.

Księgarnia Flammarion wydała pamiętniki Arsena Houssaye'a pełne interesujących wspomnień, barwnie przez znakomitego autora opowiedzianych. Między innymi jest tam zajmujący opis wieczoru spędzonego u Wiktora Hugo. Oto co autor opowiada:

„Pewnej niedzieli, zaproszeni listownie, ja i Teofil Gautier znaleźliśmy się w salonie Wiktora Hugo. Tron, na którym zwykle zasiadał podczas przyjęć wielki poeta, był w tej chwili pusty. Hugo siedział przy stole, witał się z wchodzącymi, mówił mało, w czym go wyręczały dwie damy siedzące obok niego. Były to panie Dorval i Georges, artystki dramatyczne komedii Francuzkiej, których zdrowie piliśmy następnie szampanem. Wielki gwar panował przez cały wieczór, wiele osób wchodziło i wychodziło, uścisnąwszy rękę gospodarzowi lub gospodyni. Wiktor Hugo miał metaliczne brzmienie głosu, czarujące słuchaczy. Tego wieczora, rozmawiając o poezji, wyrzekł pamiętne słowa: „coraz mniej mamy poetów; wielki Corneille ze swoją wszechwładną potęgą słowa jest dotąd jedynym poetą; Racine'a uważam za ledwie za jego ucznia, a La Fontaine'a jedynie mogę nazwać bajkopisarzem.“

Resztę wieczoru spędzono na doświadczeniach magnetycznych, które są też bardzo zajmująco opisane.“

Pod tytułem „Les artistes d'avant garde“ M. J. H. Naudey napisał długą biografię dwóch znakomitych artystów malarzy Puvisa de Chavannes i Augusta Rodina. Autor z widocznym upodobaniem studiował obu artystów, poświęcając im obok umiejętnej krytyki słowa pełne entuzjastycznego zapału.

Z koleżki „Biblioteki dla matek“ zaznaczam z przyjemnością tam powieści pani Arthez. Jest to dzieło bardzo zajmujące a moralne; może je każda matka bez obawy w ręce swej córki powierzyć. Tytuł „Aux jours d'épreuve.“ Właśnie tytuł i nazwisko kobiece zraziło mnie i źle usposobiło do książki, którą spodziewałem się znaleźć czerzą i nudną. Tymczasem po przeczytaniu nastąpiła miła niespodzianka. Autorka z wielkim artyzmem przedstawiła nam sceny z życia społecznego, pilnie obserwowane, zrozumiałe; pięknym stylem opisane.

Szczególnie godnym zastanowienia jest ostrzeżenie, że matki dające do czytania córkom tak zwane „dobre książki“, zasiewają w ich serca romantyczne, a nieprawdziwe historie, paczące umysły i dające fałszywe pojęcie o życiu realnem.

Młoda dziewczyna, karmiona tego rodzaju powieściami, nie umie prawdziwie myśleć, a często pozostawszy samą na świecie, nie umie wybrnąć z najprostszej życiowej trudności. To też autorka gorąco nawołuje matki, aby dawały dobrą, to jest pożyteczną strawę duchową swym córkom, hartując je do życia, podczas kiedy osłaniając przed nimi istotną prawdę, gotują im tysiące rozczarowań. Książka w tym duchu napisana jest prawdziwie drogocennym nabytkiem francuzkiej literatury, ubogiej w zdrowe dzieła, przeznaczone dla młodzieży.

Romans Theuriet'a „Coeurs meurtris“ zawiera wiele wdzięku i poezji. Opis wsi, pól, drzew i gór, ulubione decorum autora, mają wiele uroku świeżości. Dzieło to czyta się gładko z przyjemnością, pięknym stylem podniesioną. Fabuła bardzo prosta i ucziwa: dwoje młodych ludzi, prawie dzieci, pokochało się wzajemnie. Pewne niestosowne postępowanie młodego człowieka dzieli go od ukochanej, kiedy po kilkunastu latach spotykają się znowu ona jest żoną innego i wkrótce z rozpaczą poznaje, że nie przestała kochać swego pierwszego ideału. Walka uczucia z obowiązkiem kończy się zwycięstwem tego ostatniego.

Wszystko to opisane bardzo zajmująco, żywym stylem na przepysznym tle malowniczych krajo-  
brazów.

Mniejszą dojrzałością i artyzmem nacechowany jest romans Jana Rameau, zatytułowany „Ames fleuris.“

Jestto także miłosna idylla, wdzięcznie przedstawiona w ramach wiosennej zieleni.

O innych nowościach, których nie zdążyłem jeszcze przeczytać i ocenić, napiszę w następnej korespondencji.

C. H.

## SIOSTRY NAPOLEONA.

Karolina Murat.

Księżna Bergu i Kliwii, Królowa Neapolu.

(1782—1839).

(Dalszy ciąg).

Najmłodsza z sióstr Bonaparte do niezwykłych należy postaci. Trudno zaprzeczyć, iż geniusz rodziny tej, uosobiony w Napoleonie, i na niej wycisnął swe piętno. Postawiona w odpowiednich warunkach, Karolina królowa Neapolu, zapisała by imię swe w historii, obok najświetniejszych władczyń świata. Pozbawiona wszelkiego poczucia obowiązku a wyposażona w niepohamowaną ambicję i dumę, w gorączkowej żądzy wyniesienia, posuwała się aż do zdrady i, zdradą to właśnie, uwiecznia pamięć swą w dziejach bonapartyzmu.

Daleka od charakteru Paoletty, ambicją zaś zbliżona do Elizy, umiała Karolina szanować, nie pojęcie swej czi niewieściej, lecz wszelkie jej pozory, umiała, dla widełków panowania, poświęcić wszystko i wszystkich, a zajęta napozór obowiązkami: królowej, małżonki i matki, ukrywała równocześnie w ładnej swej głowie, jedną myśl tylko: obalenie Napoleona oraz opanowanie tronu Francji na własną swą korzyść.

Marzyła—jak zapewnia Turquan—o tronie polskim również. Ale, idźmy po kolei.

Marya - Anuncyeta de Bonaparte urodziła się w Ajaccio, w 1782 r. Zarówno więc podczas ucieczki rodziny swej z Korsyki, jak podczas pobytu jej w Marsylii i pierwszych wyniesień Napoleona, była dziewczátkiem bardzo młodziutkiem, dzieckiem nieledwie. Korzystając z tego, pierwszy konsul zażądał, aby, stosownie do obecnego stanowiska, umieszczono ją w jednym z najlepiej renomowanych zakładów wychowawczych.

Ponieważ w Saint-Germain-en-Laye istniał już podówczas rozgłośny pensjonat pani Campan, dawnej garderobianej i powiernicy królowej Maryi-Antoniny, mała więc Anuncyeta została umieszczona pod jej opieką, dzieląc nauki z Hortensją de Beauharnais, przyszłą królową Hollandyi i całym kwiatem współczesnej śmietanki towarzyskiej.

Nie przeszkadzało jej to,—jak zapewnia księżna d'Abrantès, (panna Permont, późniejsza generałowa Junot, księżna d'Abrantès), zdumiewać, po wyjściu z pensjonatu, brakiem najelementarniejszych wiadomości.

Ale Napoleon był już zbyt wysoko, by siostry jego liczyły się z takimi drobiazgami, jak wykształcenie.

Shczęśliwy zamach stanu 19 brumaire'a, zamienia generała Bonaparte w pierwszego konsula Rzeczypospolitej. U szczytu władzy nieledwie, przenosi się do pałacu Luksemburskiego. Tu już, wśród świeżo zdobytej świetności, zjawia się generał Murat i prosi go oficjalnie o rękę Anuncyaty, której, jak dodaje Lucyan Bonaparte, pierwszy konsul kazał przybrać obecnie, mniej włoskie imię Karoliny.

Napoleon, zdumiony zbyt śmiałością generała, odprawił go w sposób grzeczny, ale stanowczy. Prośba ta przynosiła Bonapartym wiele zaszczytu, lecz niemniej, musi się poradzić matki i całej rodziny, przyczem, w pomyślny skutek wątpi ze względu na zbyt młody wiek swej siostry.

Jednym słowem, nie pozostawiał mu nawet na przyszłość żadnej nadziei.

Ozyniąc tak jednak, nie wiedział, iż związek ów, nie był projektem Murat'a, któremu myśl podobna wydawała się również zbyt śmiałą. Ułożyła go i w czyn wprowadziła Józefina Bonaparte. Prześladowana wieczną a niemilkącą zawiścią rodziny swego męża, chciała ona, w jej łonie właśnie, znaleźć oparcie, przeciw intrygom szwagrów swych, przeciw knowaniom Elizy i Pauliny. W tym celu postanowiła wydać najmłodszą tak za męża, aby w małżonku jej i w niej samej zyskać stałych sprzymierzeńców.

Nie uszło niewieściego jej oka, iż w Medyolanie jeszcze i na zamku Montebello, piękny oficer mile spoglądał na uroczego podlotka, jakim była podówczas Anunziata. Wszechwładna Józefina, dostrogłszy natychmiast korzyści podobnego związku, dopomogła młodej parze do uroczej idylli, naszkicowanej na tle tłumnych zabaw salonowych, poczem, usunąwszy interesowaną na plan drugi, ujęła nicy sielanki tej, lub „intrygi“—jak lubi mówić Turquan—we własne, zręczne dłonie.

Murat był młody, piękny i niezmiernie w armii popularny. Słynął z lwiej odwagi, posiadał doniosłe wpływy, przyczem, dopomógł Napoleonowi w znacznej części do zamachu stanu. Gdyby więc człowiek taki zawdzięczał Józefinie dalsze swe wyniesienie i szczęście domowe, stałby on się dla niej, bardzo silnym punktem oparcia, w głuchej walce, jaką rodzina męża ciągle jej wypowiadała.

Murat, popychany przez nią, wahał się jednak. Czuł bowiem, iż w razie odkosza, stosunek jego do naczelnego wodza stanie się naprężonym i trudnym.

Dzięki wpływowi żony, Napoleon, pomimo pozornej odmowy, zgromadził tegoż dnia jeszcze, rodzaj rady familijnej w pałacu. Należeli do niej: matka,



Letycja Bonaparte, Józefina, córka jej, Hortensya, Eugeniusz de Beauharnais i Bourrienne. Gdy Napoleon wyłuszczył sprawę, pokazało się, iż dzielnemu generałowi nikt nie ma nic do zarzucenia. Posypały się same pochwały a na uwienienie ich zabrała głos Józefina, przypominając: bobaterską a słynną jego odwagę, w bitwie pod Aboukir, miłość, jaką się cieszył w armii, pomoc jego zresztą, w dniu zamachu stanu, pomoc dzięki której, zapewnioną mieli wszyscy, przyszłość i sławę.

Napoleon, nie przecząc ważnym tym względom, nadmieniał jednak, iż dzisiejsze jego stanowisko, nie pozwala mu przyjmować do rodziny człowieka, który był synem oberżysty \*) i, oraz, że o rękę Karoliny prosi równocześnie generał Lannes.

Zaczęły się porównania. Lannes był synem farbiera, tu więc nie istniała różnica, a że wszyscy oświadczyli się za Murat'em, że przytem pierwszy konsul zadowolony był, iż związku tego życzy sobie gorąco Józefina, złośliwi bowiem posądzali ją przez czas jakiś, o mały flirt z pięknym generałem, zapadła przeto uchwała, zezwalająca na małżeństwo młodej pary.

Murat, jeden z najwybitniejszych działaczy w dziejach cesarstwa, był, w rzeczy samej, synem oberżysty z La Bastide-Fortunière, w departamencie du Lot. Rodzice przeznaczali go do stanu duchownego, a uzyskawszy dla syna, dzięki wpływowi jednego z obywateli okolicznych, stypendium rządowe, oddali go do kolegium w Cahors. Po kilku latach sumiennej nauki, opuszcza szkołę i wstępuje do seminaryum w Tuluzie. Pomimo noszonej sułtany, nie odebrał on jednak żadnych święceń; po ukończeniu bowiem kursów filozofii, któremi zaczynały się nauki w wielkim seminaryum Tuluzy, wracał właśnie na wakacje do domu, gdy miasto samo, rozrywkami swemi, ujęło go w tak silne sieci, iż po dniach paru znalazł się bez grosza w kieszeni i nie miał poprostu kosztów podróży czem opłacić.

W takiej to chwili, Murat trafia na ulicy, pułk strzelców konnych, przechodzących przez Tuluzę. Na widok ich, na dźwięk wojennego marsza, krew kipi mu w żyłach. Wtedy to poznaje, iż powołaniem jego szabla. Bieży tedy do pułkownika i, jako ochotnik, zaciąga się w szeregi.

Dorodna postawa, dzielność, odwaga, gruntowne wykształcenie i umysł lotny, przynoszą mu awans za awansem. Wybryk przeciw dyscyplinie wojskowej grozi mu nagłą degradacją, której zapobiegł jedynie, prosząc o uwolnienie ze służby.

Odtąd, zarówno seminaryum, jak szeregi wojskowe zamknięte są dla niego; widoki na przyszłość rozchwiewiają się. Wymowny szermierz filozoficzny z Tuluzy i nieustraszony oficer, zostaje, dla chleba, — subiektem w sklepie korzennym, u krewnych swych, w Saint-Céré.

Aliści, jakaś dobra wróżka czuwa śnać nad nim i nie daje mu się zmarnować.

Wybucha rewolucya. Każdy departament wysyła trzech członków do rady konstytucyjnej Ludwika XVI-go. Dzięki deputowanemu Cavaignac'owi, jednym z tych trzech wybranych jest Joachim Murat, drugim: Bessières. Obaj zostają w lat kilkanaście marszałkami cesarstwa i obaj, aż do grobu, wiernej dochowują sobie przyjaźni.

Szwagier pierwszego konsula a później cesarza. marszałek Francyi, książę Klivii i Bergu, król Neapolu...

Z syna oberżysty i cichego alumna seminaryum, trudno chyba iść szybciej i zajść wyżej. Z trzech więc sióstr Napoleona, Karolina, najzdolniejsza, dostaje również najwybitniejszego męża. Stanowiskiem i umysłem, ambicyą i chęcią wyniesienia, dobrali się doskonale. Z charakterem, — rzecz inna. Joachim Murat, obok lwiej odwagi w boju i spiszowej woli w szeregach, miękkim był, jak wosk, wśród domowego zacisza; tak miękkim, iż szlachetna i ofiarna natura jego, pod ciągłym ujemnym a przewrotnym wpływem żony dała się wyrodnąć, słabła, abdykowała, usuwała się na plan drugi, wobec żądzy władzy, trawiącej Karolinę, aż w tym stopniowym upadku moralnym, pozwoliła się popchnąć — do podłości i zdrady.

Zobaczymy później, iż zaprzaństwo to, niełatwo mu jednak przyszło.

W chwili małżeństwa, Murat liczył lat trzydzieści trzy, Karolina osiemnaście. Związek ich zbudził wśród armii istny zapal. Uważano to za dobrą przepowiednię, iż dwóch ukochanych wodzów, łączyło się bliskimi węzłami pokrewieństwa.

Innego był zdania generał Lannes. Poprzysiągł on niechęć dla Murat'a a nienawiść Bessières'owi, który mu za dziewczosłeba służył. Nienawiść ta przetrwała aż do bitwy pod Essling, gdzie Bessières, będący pod rozkazami Lannes'a, srogie jej skutki drogo opłacił.

Małżeństwo Karoliny zawarte zostało d. 20-go Stycznia 1800 r. w merostwie Plailly, obok Morte-fontaine, posiadłości Józefa Bonaparte. Ślub ten potwierdzony został błogosławieństwem kościelnym, dopiero 7-go Stycznia 1802 r., współcześnie ze związkiem Hortensyi de Beauharnais, łączącej się z Ludwikiem Bonaparte.

Pierwszy konsul, bogaty w widoki na przyszłość, lecz niezbyt obfityjący podówczas w środki materialne, dał siostrze w posagu, trzydzieści tysięcy franków.

Tu szczegół charakterystyczny i ciekawy:

Ponieważ posag był niewielkim, Napoleon chciał dorzucić Karolinie, zwyczajem francuzkim, upominek ślubny, odpowiedni do swego stanowiska. Nie mając na to pieniędzy, pożyczyl ze szkatułki żony naszyjnik dyamentowy i ofiarował go oblubienicy.

Józefina jednak nie uznawała podobnych pożyczek, ani podobnej „komuny.“ Za karę więc, poleciła dostarczyć sobie natychmiast naszyjnik inny, wartości 250,000 franków, jak mówi Bourrienne, a pół miliona franków, jak dowodzi księżna d'Abantès.

Gdy przyszło do zapłaty, kazała przywołać Berthier'a i wyznała mu, że zamówienie zrobiła bez wiedzy pierwszego konsula, więc nie może do niego odesłać jubilera, a sama nie posiada gotówki. Aby rzecz się nie rozniosła, Berthier zapłacił klejnoty, wnosząc sumę tę na rachunek, likwidowanych podówczas szpitali włoskich.

Stanowisko szwagra Napoleona, nie było synekurą. Wkrótce po ślubie, Murat walczy pod Marengo. Powróciwszy, po skończonej kampanii do Paryża, dostaje naczelną dowództwo korpusu obserwacyjnego we Włoszech i zostaje bezwzględnie wysłanym do Toskanii.

Wzajemnie za usługi odbierane od Joachima, pierwszy konsul, znacznie już teraz bogatszy, ofiarowuje siostrze posiadłość Neuilly. Karolina Murat spędza tu kilka najspokojniejszych lat swego życia, zdala od intryg politycznych, oddana rodzinie i rozrywkom towarzyskim, dla których dojeżdża do Paryża, biorąc udział w zabawach, na dworze swego brata.

W Neuilly przychodzi na świat troje starszych jej dzieci: syn pierworodny, Napoleon-Achiles-Karol-Ludwik; córka: Letycja-Józef (nie Józefina, na dowód iż chodzi o cześć oddaną bratu, Józefowi Bonaparte, nie zaś żonie Napoleona); wreszcie, jeszcze syn jeden: Lucyan-Karol-Franciszek-Napoleon Murat.

W 1803-im r. generał Murat zostaje odwołany z Włoch a pierwszy konsul powierza mu stanowisko wojennego gubernatora Paryża, sprawowane dotąd przez generała Junot.

To wyniesienie nagłe, mocą którego Karolina zajmuje w Paryżu pierwsze stanowisko po cesarzowej, budzi właśnie niemilknącego już nigdy szatan pęch w jej sercu. Odtąd, korona królewska staje się upiorem, który we śnie i na jawie nie przestaje jej przesładować. Upiór jednak nie przybiera jeszcze cech krwiożerczych. Przeciwnie; młoda kobieta widzi, iż do planów, jakieby później roztoczyć mogła, potrzebne jest przedewszystkiem rozległe koło: popleczników, życzliwych i przyjaciół. Pewna więc nadzwyczajnej przyszłości, czekającej męża jej i brata, postanawia zużyć terażniejszą, na zdobycie podstaw, do późniejszego działania.

Co tylko więc wdzięk, piękność, słodycz, zrobić mogą, co zdziałać jest w stanie: uprzejmość, słodki uśmiech kobiety, chętna rada, szybka pomoc i słoneczna dobroć serca, to wszystko wydobywa Karolina ze swego kołczanu, byle zdobyć popularność, byle podbić Paryż i cały korpus armii, którym mąż jej dowodzi.

Byłaby to zaiste, najpiękniejsza karta w jej życiu, gdyby płynęła z duszy uczciwej i szczerzej, gdyby późniejszy machiawelizm nie odkrył tajnych a niskich sprężyn, jakie nią kierowały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Wspomnienia z wycieczki do Ojcowa.

Większość osób, wyjeżdżających z Warszawy do Ojcowa, udaje się tam koleją Wiedeńską my wybrałyśmy inną marszrutę, aby jadąc od Iwangrodu koleją Dąbrowiecką, poznać choć w przejeździe tamte strony, leżące w daleko bardziej malowniczym położeniu niż monotonne stacje drogi Wiedeńskiej. W Iwangrodzie przypatrujemy się połączeniu Wieprza z Wisłą, dalej mijamy Radom, Bzin, w którym od głównej linii kolei Dąbrowieckiej rozchodzą się dwie gałęzie, jedna dążąca ku Koluszkom, druga do Ostrowca. — Suchedniów znany niektórym warszawiakom z letniego tam pobytu, Kielce, Chęciny z ruinami zamku; następnie z odrobiną strachu przebywamy tunel pod Miechowem. Koło południa stajemy w Olkuszu, z kądem mamy jeszcze 20 minut do Ojcowa, po drodze kamienistej i pełnej wybojów. Dla przebycia jej mamy do wyboru kilka wózków chłopskich, a także brek i powóz przysłane przez administrację Ojcowa. W obawie o kości nasze wybieramy ten ostatni, sadowimy się w nim wygodnie we troje, gdyż w Bzinie spotkałyśmy znajomego, dążącego również do Ojcowa; dziarski krakus pali z bicia nad czwórka koni — ruszamy.

Znużeni długą podróżą, wczekujemy tem niecierpliwiej jej końca, że droga z Olkusza do Ojcowa weale nie jest ciekawa, wreszcie spada ona tak gwałtownie, jakby w jar głęboki i jesteśmy w przełicznej dolinie z kryjącymi się po obu jej stronach, wśród ciemnych świerków skałami, przed nami widnieją ruiny zamku... To Ojeów. Koniki parszają wesoło, krakus znowu pali z bicia i zajeżdżamy przed hotel Kazimierza, zapomniawszy w zachwycie nad pięknymi widokami o dręczącej nas przedtem obawie. Niestety obawa zamienia się w rzeczywistość. Służba zawiadamia nas z najwyższą obojętnością, że w obu hotelach pod Kazimierzem i Łokietkiem niema ani jednego numeru wolnego, a pytani przewodnicy również oświadczają jeduozgodnie, że w willach administracji i na wsi u gospodarzy mieszkań także niema. Spoglądamy po sobie w niemej rozpacz. Co robić? Nocować pod gołem niebem lub w jakiej stodole, czekając, czy jutro kto z hotelu nie wyjedzie, lub może jechać do Pieskowej Skały, której ogłoszenia, obwieszczające o wolnych tam mieszkaniach, widzieliśmy po drodze. Lecz przewodnicy szepcą, że idzie właśnie pan inspektor administracji, dążymy więc do niego i widzimy, że niebo go nam zesłało. Pan Hildebrand, wysłuchawszy uprzejmie naszych ubolewań, oświadcza, że w willi Rezeda jest pokój wolny. Daleko to, aż za Krakowską bramą i może niebardzo będzie wygodnie, bo na facyatce, ale gdy niema nic innego do wyboru...

Dziękujemy mu gorąco, a zastraszeni przez jednego z przewodników, że jego towarzysza zaprowadził już tam jednego pana, jedziemy dalej tym samym powozem, nagłąc krakusa do pośpiechu. Przewodnik miał słusność, ów pan złożył już nawet walizkę w zakwestyonowanym pokoiku, ale p. Hildebrand bierze rycersko stronę dam, utrzymujemy plac boju i z zadowoleniem kwaterujemy się z moją towarzyszką w owej facyatce, zapominając narazie z właściwym rodowi ludzkiemu egoizmem, że nasz towarzysz podróży jeszcze nie ma gdzie głowy przytulić. Wreszcie i on znajduje choć niezbyt wygodne i tymczasowe pomieszczenie u jednego z gospodarzy.

Nazajutrz rozglądamy się po Ojcowie. W głównej części doliny od parku do Bramy Krakowskiej zmiany nie widać: te same domki i wille, te same mostki i kładki na Prądniku — nie nie przybyło. Ale w parku różne widzimy zmiany. Wzniesiono

\*) Bourrienne, *Memoires*, t III, str. 290. U Turquan'a. str. 332.



długi drewniany budynek, w którym mieści się kręgielnia, bilard i strzelnica; ustawiono różne przyrządy gimnastyczne, na których dziatwa z rozkoszą się i zrecności swojej próbuje; wyznaczono osobny plac na krokiet. Za Bramą Krakowską obok Rezydencyj przybyła willa Reduta, w której na przyszły rok ma być otwarta mleczarnia i kawiarnia dla wygody gości, mieszkających w dalszych od hotelu stronach. Ale oczy i uwagę każdego przybywającego do Ojcowa zwraca przede wszystkim przy samym wjeździe okazały gmach drewniany z licznymi balkonami i werandami: to zakład wodoleczniczy Goplana. Przed budynkiem rozściela się obszerny trawnik, a tuż obok na Prądniku, który tutaj przez sztuczne pogłębienie gruntu rozlewa się szeroko, tworząc rodzaj jeziora, postawiono łazienki do zimnej kąpeli.

Z zadowoleniem też widzimy, że w Ojcowie otwarto w tym roku stację pocztową, biuro jej mieści się w hotelu pod Kazimierzem, tuż zaś obok znajduje się apteka.

Przebiegłszy uroczą dolinę Ojcowa od początku do końca, zwiedzamy prostopadle do niej leżącą, a niemniej malowniczą dolinę Saspowską, w której znajduje się tylko jedna willa, słusznie miano Swobody nosząca, gdyż zamieszkującym ją swobodniej wśród spokoju i ciszy ich dolinki, niż mieszkańcom blisko siebie położonych domków i willi właściwego Ojcowa. Lecz ścieżki doliny to nie dostateczny spacer dla kogoś, kto chętnie chodzi: rozglądamy się na które góry dostać się można, projektujemy zwiedzenie grot i dalsze wycieczki. Zaczynamy od góry Zamkowej. Po schodkach lub ścieżką dostajemy się na jej szczyt, na którym stoi ławka i mamy przed oczami główną część doliny Ojcowskiej. Jakiż to widok uroczy! Obramowana wyniosłymi skałami, które występują z ciemnej ściany lasu, lub mają nim zwieńczone wierzchołki, dolina ta w blaskach słońca mieni się szmaragdem swych łąk i złotem pól, wśród których Prądnik, jak rzeźki Krakowiaczek hasa. U stóp skał tuła się mieszkarnia letników, a nad niemi wszystkimi króluje na prawo najwspanialsza w Ojcowie willa „Pod berłem”; po tejże stronie widać Bramę Krakowską: duże prostopadle naprzeciw siebie stojące ściany, otwierające przejście na drogę do Krakowa.

Na górę Hełmową, na którą z trudem wdrapywałam się niegdyś, prowadzi teraz droga wcale wygodna, gdyż porobiono schody w bardziej stromych przejściach i wyrównano ścieżki—brakuje tylko paru ławeczek, na których spocząćby można.

Z wierzchołka, niestety, nie widzimy dobrze Krakowa, gdyż właśnie w tym dniu mgła go zasłaniała, ale w dali wyraźnie sinieją wyniosłe Tatry—„jak graniczny słup zuchwale.“ Również dobre wejście jest na górę Krzyżową, która prawie prostopadle wznosi się nad kręgielnią w parku. Widok stąd na dolinę nie jest tak piękny jak z góry Zamkowej.

Zwiedzamy dalej ważniejsze grotty: Ojcowską, tworzącą zaraz od wejścia wspaniałą salę, w której podobno ongi Stanisław August wyprawiał—świecny bal—grotę Łokietka, gdzie ten król mały wzrostem, a wielki duchem miał się kryć przed Czechami, odwiedzany i żywiony potajemnie przez wiernych i przywiązanych do niego kmiotków, a z dalszych największą grotę Wierchowską.

Oddalona o 5 wiorst od Ojcowa, grotta ta jednak zwiedzana jest często dla przepysznych swych stalaktytów—dla utrzymania też jej w czystości niewolno wchodzić tu z kagankami, które dużo dymu robią, tylko ze świecami. Stalaktyty te potworzyły w niektórych miejscach grotty dziwacznej formy, różnego kształtu, jakie stosownie do znalezionej w nich podobieństwa nazwano infułą, kropielnicą, baldachinem i t. p. Pokazują też w grocie zagłębienie, w którym znaleziono szkielet niedźwiedzia przedpotopowego.

Z okolic Ojcowa letnicy zwykle zwiedzają Grodzisko i Pieskową Skałę dla ich pamiątek—Skałę i Smardzewice dla nabożeństwa i zaopatrzenia się w sprawniki na targu, który w Skale odbywa się co sroda.

Sliczną miejscowością jest Grodzisko o 3 wiorsty oddalone od hotelu. „Sam Prądnik do niego prowadzi,” powiedział nam jeden z gospodarzy, gdyśmy go pytali o drogę. Istotnie idzie ona ciągle

nad brzegiem Prądnika, który, wijąc się figlarnie, ukazuje się to po prawej, to po lewej jej stronie. Dolina tu rozszerza się nieco, a skały ją zamykające nie strzelają dumnie w górę, ale podobne do przysadzistych kumoszek zdają się gwarzyć ze sobą. Wśród bujnych łąk zielonych postępujemy wciąż brzegiem szemrzącego po kamykach potoczka, aż wreszcie widzimy stromą górę, a na niej kościółek—to cel naszej wędrowki. Podpierając się kijami, pniemy się po wąskiej ścieżce, nie patrząc w bok, aby nie doznać zawrotu głowy, a dostawszy się na wierzchołek, siadamy, aby odpočząć i przyjrzeć się malowniczo krajobrazowi. U stóp naszych stroma góra, przed nami ciemna ściana lasu, a wśród niego w jednym miejscu jak łysina żółciejące ścierńskie, w dole węzowemi skręty toczy się wśród szmaragdowej łąki ocieniony wierzbnymi Prądnik... Słychać ryk bydelka, głosy nawołujących je pastuszków i turkotanie młyna w oddali—a lekko zamglone promienie słońca łagodnie i pieszczotliwie muskają ten obraz, uwydatniając światła i cienie.

Grodzisko dawne pamięta czasy. Nazwę swoją zawdzięcza zameczkowi, zbudowanemu na górze przez Henryka Brodatego w czasie walki jego z Konradem Mazowieckim, później Bolesław Wstydlawy, przerobiwszy warownię na klasztor, osadził tu Franciszkańki z Zawichosta i uposażył je bogato. Gdy w XIV w. klasztor ten został napadnięty i zburzony przez zbójców, zakonnice przeniesiono do Krakowa i one w XVI wieku na miejscu klasztoru kazały zbudować kościółek Wniebowzięcia N. M. P. Kościółek w Grodzisku jest malutki, ale ładny, z ołtarzem z czarnego i białego marmuru i oknami ze szkła kolorowego. Na dziedzińcu kościelnym wznosi się grobowiec śtej Salomei, królowej Halickiej siostry Bolesława Wstydlawego, która przez lat kilka była księżką osadzonych w Grodzisku zakonnic i tu umarła, a na murze widzimy posągi, wyobrażające Bolesława, Henryka Brodatego, Kolomana i żony dwu pierwszych: śtą Kunegundę i Jadwigę—posąg śtej Salomei stał dawniej na wierzchu grobowca, ale przez wiatr zrzucony i rozbity został. Za ogrodzeniem kościelnym kilkadziesiąt stromych stopni kamiennych prowadzi nas do grotty śtej Salomei. Małeńka ta grotta mieści ołtarzyk, łożo kamienne, na którym Święta sypiała, piec i rodzaj pułki. Nad łożem widzimy napis łaciński: Czem jest sen, jeżeli nie śmierci obrazem?—z drugiej strony również po łacinie widnieje: Tam skarb mój, gdzie serce moje. Stajemy w grocie zadumani. Jakaż pobożność musiała ożywiać wątłe ciało tej niewiasty, która z wysokiego pochodząc rodu, królów siostra i małżonka, dla Boga wyrzekła się wszystkiego i poddała ciężkim umartwieniom.

W Grodzisku jak zwykle i w tym roku gościł w lecie J. E. ks. Biskup Kuliński. Będąc tam po raz drugi, na odpuszcie w święto Wniebowzięcia N. M. P., asystowaliśmy bardzo uroczystemu obrzędowi udzielania wiernym Sakramentu Bierzmowania. Pogoda była prześliczna i zebranie pobożnych bardzo liczne. Z powodu szczupłości kościołka ustawiono tron biskupi na zewnątrz, a od niego dwoma rzędami uklękli bierzmujący się, okalając niemal kościółek; wśród nich postępował ksiądz biskup z towarzyszącym mu księdzem, udzielając Sakramentu. Był to widok bardzo uroczysty i podniosły.

Z Grodziska małą milkę do Pieskowej Skały również z biegiem Prądnika, przebywają nieraz pieszo ochoczy podróżnicy—ci zaś, którzy, nie ufając nogom swoim, biorą wózek z Ojcowa, jadą zwykle inną drogą. Na wstępie do Pieskowej Skały wita nas sławna Maczuga Herkulesa, którą zwą także Pałą Krakusa—właściwsze, jak sądzę, bo swojskie nazwanie; dalej na wyniosłej górze majestatycznie wznosi się zamek. Zbudowany w XVI-wym wieku przez Piotra Szafranca, którego wyobrażenia widzimy w płaskorzeźbie w sieni zamkowej, jest dziś własnością hrabiego Miroszewskiego, który jednak rzadko tu przebywa. Na prośbę naszą gościnnie otwierają nam pokoje, ale głucho tu i smutno—ogromne sale z wysokimi sklepieniami i głębokimi framugami puste teraz zupełnie, bo wszystkie z nich meble i obrazy właściciel kazał przewieźć do Krakowa—przykre też wrażenie wynosimy z tej pustki. Posępnie też i głucho w ogrodzie i na dziedzińcach, na których nawet pies nie zaszczeka. U stóp góry za to wre życie: pobudowano nowe domki dla letników, licząc nie bez słuszności, że

Pieskowa Skała może powoli zyskać to, co i Ojcowie uznają. Szkoda tylko, że domki te nie odznaczają się szlachetniejszym gustem—jeden z nich zwłaszcza ze swemi czerwonymi szlakami dziwnie trywialnie odbija od otoczenia: od tej wspaniałej góry i królującego na niej zanku. Wstąpiwszy posilić się do restauracji, spotykamy jednego z letnich gości Pieskowej Skały, który bardzo chwali pobyt w niej, dowodząc, że mniej tu wilgoci i deszczów niż w Ojcowie, dobre mieszkania i obiady, a na uwagę naszą, że Ojcowie przewyższa Skałę pięknoscią położenia, odpowiada, że pobliska wieś Sułoszowa, do której tutejsze towarzystwo częste czyni wycieczki, nie ustępuje Ojcowowi w malowniczości. Byłabym chętnie sprawdziła słuszność tego zdania, gdyby nie brak czasu, a zwłaszcza pogody.

Och, ta pogoda, czyli raczej niepogoda—te deszcze, tak często w tym roku nawiedzające ten cudny kątek, o mało mnie nie zniechęciły do Ojcowa. Wprawdzie tamtejsi mieszkańcy tłumaczyli nam, że od 11-u lat takich deszczów nie mieli, ale słabą to stanowiło pociechę dla tych, którzy właśnie na to jedenaste lato przyjechali. Od deszczu wreszcie można zabezpieczyć się parasolem, ale błoto w Ojcowie doczeka bardziej niż gdzieindziej, gdyż gliniasty grunt powoli wysycha, a dopóki to nie nastąpi, jest tak ślisko, że chodzi się jak po szkle. To też po deszczu trzeba było koniecznie czekać, aż trochę podesechnie, używając powietrza jedynie na ganku lub werendzie i czytaniem przywiezionych ze sobą książek wynagradzając sobie niemożność odbicia jakiej wycieczki. Jeżeli mówię „przywiezionych ze sobą książek,” to dlatego, że ich na miejscu nie dostanie. W Goplanie są różne pisma peryodyczne, ale wypożyczalni książek w Ojcowie nie ma, choćby się bardzo przy znacznej ilości przebywających tu gości przydała. Ważniejszą niedogodnością jest brak kościoła lub jakiegokolwiek choćby kapliczki.

Przyjeżdżając tu, myślałam, że, gdy dzięki ofiarności hrabiny Krasińskiej, jest już fundusz na kościół w Ojcowie, zastanę rozpoczętą jego budowę, lub choćby przygotowania do niej porobione. Tymczasem nie w tym względzie nie dokonano, a dlaczego? nie umiem powiedzieć.

Lecz cóż może być bez ale? Ojcowowi też ich nie braknie, że to jest jednak uroczą miejscowość, której zalety przewyższają wady, temu nikt zaprzeczyć nie może.

Kto ją zna, chętnie do niej po razy kilka podąży, tym zaś, którzy, lekceważąc piękności kraju rodzinnego, jedynie wstawione miejscowości zagranicą uznają za godne widzenia, należy powtórzyć słowa poety:

Gdy ci obce strony znane,  
Wstydem lica twe zarumien,  
Jeśliś zwiedził Tybr, Sekwanę,  
A Prądnika minął strumień.

E. I.

## Okrężne w powiecie Opoczyńskim.

Jeden za drugim dawne zwyczaje, tradycyjne obrzędy i rozrywki ludu naszego—bądź całkiem wychodzą z użycia, bądź przekształcają się powoli, reformują i zmieniają. Z dawnego święta Kupały z tradycyjnych sobót świętojańskich—ślady zaledwie pozostały w niektórych okolicach kraju,—w wielu zapomniano o nich zupełnie. Podobnie i, różne zresztą od Sobótki pochodzeniem i charakterem, Okrężne, Wyżynkiem niekiedy nazywane, które przed niezbyt jeszcze dawnym czasem w kraju całym obchodzono u nas uroczyste wesołą zabawą ludową, połączoną ze śpiewami, sięgającą niekiedy odległej bardzo przeszłości, utraciło dzisiaj, swą dawną tradycyjną cechę. W wielu miejscach jedynym śladem tej pięknej zabawy ludowej, w której, po szczęśliwie ukończonych żniwach, mieszkańcy białego dworu weselili się nieraz aż do świtu wspólnie z prostym ludem wieśniaczym,—pozostał poczęstunek wódką gromady robotników



przez właściciela, w dniu zakończenia żniwa pszenicy oraz wręczenie „panu“ przez przodownicę czyli sternicę wieńca ze zboża, przybranego we wstążki, owoce i kwiaty.

Są jednak okolice, a do takich należy w pewnym stopniu i jeden z zapadłych kątów w powiecie Opoczyńskim, nad piaszczystym brzegiem Pilicy, — w których niwelujące wszystko do jednego poziomu względy trzeźwej praktyczności nie zdołały jeszcze zatrzeć doszczętnie śladów dawnych obchodów i zwyczajów. Mieliliśmy świeżo sposobność przekonać się o tem, będąc w tej stronie kraju świadkiem Okrężnego, które, w części przynajmniej przypominało nam to, co o tego rodzaju obchodach słyszeliśmy jeszcze w dzieciństwie.

Zdaleka już o zachodzie słońca ze wzgórz za dworem dochodzić zaczęły dźwięki samorodnej orkiestry wiejskiej, złożonej ze skrzypki, basów i bębna, przygłuszającego swem nieustannem „buk, cyk, cykl...“ śpiewne, a czasem piskliwe tony instrumentu głównego. Kapela ta nie akompaniowała śpiewowi we właściwym tego słowa znaczeniu, lecz grała tylko w krótkich przerwach między jedną zwrotką a drugą, podchwytyjąc zresztą smętną dosyć w tych stronach nutę pieśni ludowej.

Powoli zaczęliśmy rozróżniać i słowa pieśni, które zrazu, nieuchwytnie dla ucha leciały aż hen daleko, ku ścianie ciemnego boru. Na wstępie więc usłyszeliśmy zwykłe w takich razach pochwały i grzeczności dla „pana“:

A u nasego pana cerwona podłoga,  
A zjeżdżają się goście, jak do Pana Boga,  
A u nasego pana zielone obicie,  
Zjeżdżają się goście—da na jadło, na picie.  
A u nasego pana cerwone goździki,  
Da chodź po pokoju, zakreca wąsiki i t. p.

albo też pochlebstwa i komplementy dla pani:

Wedle dwora wielga burza,  
Nasa pani kieby róza,  
Kieby róza, kieby lelija  
Po pokojach sie uwija...  
Przede dworem kacki w błocie,  
Nasa pani w samem złocie,—  
Przede dworem wielgi wiatr,  
Nasa pani, kieby kwiat i t. p.

Niekiedy do pochwał i komplementów pod adresem własnego dziedzica dołącza się coś w rodzaju satyry pod adresem najbliższego sąsiada.

A u nasego pana okienice szklane,  
A da u Skórkowskiego wichciami zatkanie.—

śpiewali np. nasi wyżynkowicze.

Zbliżając się do dworu, śpiewy przybierały stopniowo charakter ściśle okolicznościowy, jakby umyślnie na uroczystość Okrężnego przez nieznanych pieśniarzy wiejskich układane były:

Śpieszyliśmy się, śpieszyli,  
Ażeśmy zytka dożęli,—

śpiewały piskliwie skrzypce.

Złożyliśmy się w około,  
Kaj było zytko, tam goło,—

wtórowały im basy poważnie.

Nawiązaliśmy snopeczki  
Jako na niebie gwiazdeczki,—

ciągnęły dalej poetyczne skrzypce, a bęben z satyrycznym rykiem zahuczał:

A weź że, panie, książeczki,  
A pozapisuj snopeczki,  
A bo karbowy rachował,  
Połowę sobie zachował...

Wchodząc w bramę, prowadzącą do dworu, gromada zaintonowała zgodnym chórem:

Otwórz nam, panie, nowy dwór,  
Przyniesiemy ci wszystek zbiór,—  
Otwórz nam, panie i wrota,  
Niesiem wianuszek ze złota...

Przed samym gankiem na inną nutę odezwała się znowu piosenka, przeważnie przez dziewczęce głosy śpiewana:

A dokoła nasz wianeczeku, dokoła,—  
Pełna zytka i psenicki stodoła.  
A w okregi, nasz wianeczeku, w okregi,—  
Obiecał nam dać pan dziedzic na wstęgi.

Tu przodownica, postępująca i teraz na czele całego orszaku, zdejmując z głowy piękny wianek z kłosów pszenicznych i żytnich spleciony, a przyozdobiony tutaj, oprócz wstąg, kwiatów, jabłek i orzechów, paroma białymi jajami. Dziedzic przyjmuje wianek z jej rąk i daje znak do ogólnego poczęstunku, o który zresztą dopominają się goście wyraźnie, śpiewając w dalszym ciągu:

Zabij nam, pani, kaczora,  
Dożyliśmy z wieczora,—  
Zabij nam, pani, kaczycę,—  
Zjęliśmy zytko, pszenicę...

Następuje poczęstunek wódką, chlebem, serem, ogórkami i t. p. przysmakami wiejskich podniebień,—ogólna wesołość podnosi się o parę stopni, i rozpoczyna się taniec pod otwartym niebem, na którym jedna po drugiej migotać zaczynają złote ogniki gwiazd,—ochochy taniec ludowy przy dźwiękach obertasów, wygrywanych „od ucha“ przez niezmordowanych grajków wiejskich. Tańce co chwila urozmaica jakaś śpiewka, z którymi wyrwać się zaczynają i pojedyncze głosy. Są to, po większej części, okolicznościowe zwroty do pana, pani lub paniczów, ekonomów, dozorców, a nawet do wybitniejszych członków gromady:

A karbowemu butelkę piwa,  
Bo nas pilnował dobrze u żniwa.  
Ekonomowi zegarek złoty,  
Bo nam pilnował dobrze roboty,  
A stelmachowi okrucy,  
Niech ma dla dzieci na kluchy,—

proponują nagrody domorośli improwizatorowie, budząc niekiedy wśród słuchaczy wybuch szczerzej wesołości. Wśród rozbawionej gromady zauważyliśmy parę osobników, obdarowanych niezmierną łatwością improwizowania *ad hoc* prostych, niewyszukanych piosenek, którymi sypali, jak z rękawa. Dzielna kapela w jednej chwili dorabiała do każdej muzyki, i zabawa ciągnęła się dalej wesoło i ochoczo.

Z charakterystycznych piosenek udało nam się zanotować jeszcze następujący parowiersz:

Oddajemy plon,—  
Karbowy nas klon (kłął),—  
A my go sie nie boimy,  
Kaj pójdziemy, tam stoimy,  
Niech se robi soml!...

W ogóle karbowy stał się przysłowiem *bête noire* rozbawionej gromady, z pośród której zwracano się wciąż do niego z żarcikami i docinkami, w dowcipne niekiedy zwrotki ujętymi.

Zabawa długo jeszcze przeciągała się pod gołym niebem, poczęstunki i pieśni powtarzać się zaczęły *da capo*, ochotę przerwał dopiero deszczyk, który rozpadał się wkońcu na dobre. Przerwa jednak nie trwała długo, bo, uzyskawszy pozwolenie pani dziedziczki, rozbawieni goście przenieśli się razem z kapelą, do wielkiej izby obok kuchni dworskiej, z kądem do białego rana dochodziły przytłumione odgłosy piskliwych skrzypki, połączone z poważnym mrużeniem basetli, hałaśliwymi uderzeniami buńczucznego bębna i dziarskimi hołupcami dzielnych obertasów.

Nazajutrz była na szczęście niedziela. I tak jednak, patrząc na rozbawionych żniwiarzy i hasających ochoczo dziewoje, niepodobnym się zdawało do uwierzenia, że wszyscy ci ludzie przyszli na zabawę prosto od ciężkiej całodzienniej pracy u żniwa i zbierania snopków w skwarne dzień sierpniowy...

Wład. Bukowiński.

## Z bieżącej chwili.

— Liczba lekarzy w Rosji wynosiła w r. 1895 według danych zebranych przez departament medyczny 18,334; wypadła więc, przyjmując ludność Cesarstwa na 110 milionów dusz, jeden lekarz na 6,000 mieszkańców. W Niemczech przypada jeden lekarz na 3,000 mieszkańców, w Francji na 1,800, a w Anglii na 1,600. Najwięcej lekarzy osiada w miastach gubernialnych i powiatowych, tak że tam przypada jeden lekarz na 270 mieszkańców, podczas gdy na wsi jeden na 9,000 a w niektórych miejscowościach nawet jeden lekarz na 12,000 mieszkańców. Wskutek tego też śmiertelność w Rosji jest większa aniżeli w innych krajach Europy. Wynosi ona 37.3 na tysiąc.

— Inżynierowie warszawscy pp. Sokal i Grodzki wnieśli do oberpolicmajstra podanie o pozwolenie na urządzenie w mieście ruchu powozów automatycznych, na gumowych kołach, poruszanych małymi motorami benzynowymi. Pierwsza linia, którą powozy te kursować będą, od placu Krasieńskiego biorąc, stanowią ulice: Miodowa, Senatorska, plac Teatralny, Wierzbowa, plac Saski, Mazowiecka, plac Warecki, Szpitalna, Bracka do placu Ś-go Aleksandra. Ekwipaże odchodzić będą co 5—6 minut. Opłata od osoby ma nie przewyższać ceny 10 kop. za kurs.

— D. 13-go b. m. otwarty został w Lublinie przytułek dla kobiet zbłąkanych, założony przy tuższym Towarzystwie Dobroczynności staraniem księżny Maryi Woronieckiej. Poświęcenie zakładu pozostającego pod opieką ks. Kłopotowskiego nastąpić ma wkrótce. Na razie przyjęto do zakładu dwie pensyonarki.

— D. 13-go b. m. nastąpiło uroczyste zamknięcie wszechrosyjskiej wystawy w Niżnym-Nowogrodzie. Wystawę od dnia jej otwarcia odwiedziło przeszło milion osób.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: ark. 4 powieści p. t. *Dora*, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego.

**TREŚĆ:** Nieporozumienia, przez Szczęsną.—Z międzynarodowego kongresu kobiet w Berlinie, przez Szczęsną.— Nie odchodzi przez Selima.—Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg).—Nowiny paryżkie, przez C. H.—Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg).—Wspomnienia z wycieczki do Ojcowa, przez E. L.—Okrężne w powiecie Opoczyńskim.—Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Dora*, powieść, przez Henryka Gréville. Przekład z francuzkiego, ark. 4.—Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.